NASZE PISEMKO



WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA STARANIEM UCZNIÓW
GIMNAZJUM PAŃSTWOWEGO W KATOWICACH

ROK II NR. 1 i 2

NASZE PISEMKO

MIESIĘCZNIK UCZNIÓW GIMN. PAŃSTW. w KATOWICACH

ROK II * KATOWICE, DN. 5-GO PAŹDZIERNIKA 1928 R. * NR. 1. i 2.

BORYS BRODOWSKI Kl. VII a.

JUŻ CZAS...

Z żałobą w sercu Cię żegnałem,
Ty wakacyjny słodki śnie,
Coś nic prócz wspomnień nie zostawił —
Co wiele szczęścia dałeś mnie.

Lipcowe dziś ja pomnę ranki,
Co już je pochłonęła dal,
Gdy z polnych kwiatów plotłem wianki —
I gdy nieznany był mi żal.

Sierpniowe pomnę ja wieczory,
Na niebie gwiazd srebrzysty mak,
Gdy jeno Pollux i Kastory,
Śledzili marzeń moich szlak.

Nadeszła chwila już rozstania
Beztroskie dnie ja żegnam was!
Bo oto słyszę głos wołania:
Już na nas czas! Już czas! Już czas...

A. GRODZICKI Kl. VII a.

NOWOROCZNE WRAŻENIA SZKOLNE.

W niedzielę 2. września nastąpiło uroczyste pożegnanie wakacyj, a nazajutrz nie mniej uroczyście zaczął się nowy rok szkolny. Ktokolwiek, znający zeszłoroczny rozkład klas w naszem gimnazjum, a nie wiedząc o zaszłych zmianach, zabłądziłby do naszego gimnazjum, zgubiłby się pewno jak w owym labiryncie kretejskim. Ruszyły się bowiem z miejsca wszystkie bożęta i niebożęta, owe opiekuńcze duchy, które stały dotąd na straży siedzib poszczególnych klas, nie mogąc obronić powierzonych sobie miejsc przed nieuchronnem przeznaczeniem. Rozpoczęła się więc wielka wędrówka ludów, do której chyba owe ruchy na początku wieków średnich w Europie porównać można. Klasa ósma pozostała nadal na parterze, niedaleko rezydencji Republiki Szkolnej naszego gimnazjum; zaszczyt ten z wieku i mądrości należy się wielkoludom naszego gimnazjum. Klasa siódma „a“ trzyma się ciągle na Olimpie t. j. na drugim piętrze, przesunęła się tylko nieco na wschód i zawładnęła obszerną siedzibą, którą w roku zeszłym dzierżyła dzisiejsza klasa szósta. Miejsce to tem zaszczytniejsze, że znajduje się obok naszej świątyni — auli. Ogólne zdanie jest, że słusznie właśnie ta, a nie inna klasa doznała tego zaszczytu, jednakże nie brak i takich, którzy powątpiewają, czy klasa potrafi godnie pełnić straż w tak honorowem miejscu. Obok siódmej a. pędzi żywot jej rówieśniczka klasa siódma b. Klasa szósta spadła z drugiego piętra na pierwsze; upadek przykry choć nie tak straszny w każdym razie trzeba będzie siły wielu kilogramometrów, aby napowrót mogła wznieść się w górne rejony naszego gmachu. Rozmieszczenie innych klas kryje również głębszą symbolikę, tak np. klasy pierwsze nie mogą się jeszcze odważyć pchnąć na wyższe piętra, jako nowicjusze muszą odbyć próbę na parterze. Inne klasy rozprószone są po wszystkich piętrach i trzebaby dokładnie znać historję każdej z nich, aby się przekonać, dlaczego usadowiły się właśnie tak a nie inaczej i jakiś głębszy powód zawszeby się znalazł.

Zaczął się więc rok szkolny, na pociechę księgarzom i innym poczciwym ludziom, mającym coś wspólnego ze szkołą. Z zakończeniem wakacyj wzmogła się w dwójnasób frekwencja t. zw. „lodów włoskich“, która w czasie miesięcy letnich, z powodu wyjazdu gimnazjalistów, stosunkowo osłabła. Jak mówią w szkole i mieście, rekord w spożywaniu włoskich lodów pobiła klasa siódma a., która ma nawet dostać za to złoty medal. Siódmoklasiści bowiem wierzą, że przykładanie lodu na głowę orzeźwia umysł i dodaje bystrości; w prawdzie lody się tylko je, ale „lepszy rydz, niż nic“. Każdy zresztą wie, że siódma a. klasa i bez lodów po-

siada znaną bystrość umysłu, ale „od przybytku głowa nie boli“. Wogóle klasa siódma a jest znana na wszystkich polach. Podobno podczas wakacyj na dwudziestu ośmiu uczniów z siódmej a klasy, przeczytano aż dwanaście książek! I w tem, jak pocichu się przyznają inni, pobiła rekord gimnazjum.

Nawet „Nasze Pisemko“ w tym roku ma się zmienić; po kątach wszyscy sobie przysięgają, że nie będą posyłać do gazetki artykułów naukowych, tylko same nowelki, opowiadania, lekkie wesołe, jak przystało na gimnazjalistów.

BORYS BRODOWSKI Kl. VII a.

NA PROGU NOWEGO ROKU SZKOLNEGO.

I oto znowu (wprawdzie o jeden dzień później niż zwykle, ku waszej wielkiej radości, a, o ile mam być szczerym, to i mojej) spotykamy się wszyscy na szkolnej ławie. Cichy gmach gimnazjalny rozbrzmiał pogwarem młodzieńczych rozmów i śmiechów — to rozpoczął się nowy Szkolny Rok. Mimowoli nasuwa mi się na myśl urywek jakiegoś wiersza ze starego pamiętnika...

... „Dobre szkolne dni,
Wspólne łzy i sny,
Wspólne myśli, wspólne cele,
Razem w szkole i kościele —
Dobre szkolne dni“.

*

O ja proszę Cię,
Nie zapomnij mnie!
Szkolna ława łączy ludzi,
Nic przyjaźni nie ostudzi —
Nie zapomnij mnie!“

I czyż nie tak drogi kolego — czyż nie „wspólne myśli, wspólne cele“ nas łączą? Idźmy przeto do celu! Ostatni raz łzawym okiem rzuć po za siebie, na beztroskie, szybko w dal mknące Wczoraj, a spójrz w pochmurne-mgliste jutro. Ha — trzeba się pogodzić z losem.. O nie, źle powiedziałem! Hardo wznieś głowę i idź naprzód, a kroki twe niech będą śmiałe i odważne. Jeśliby zaś w serce wkradła się chwila zwątpienia, to pomnij, że przecież większe czekają nas w życiu zmagania się, że później społeczeństwo większych zażąda wysiłków. Nie cofaj się za nic! A potem, gdy znajdziesz się na ostatnim szczeblu szkolnej drabiny, gdy wszelkie trudności zostaną za Tobą, niech lico twe opromieni tryumfalny blask zwycięstwa.

Jeszcze jedna sprawa miły czytelniku „Naszego Pisemka“. Otóż prawie każdy z was wyjeżdżał gdzieś na wakacje, każdy inną połać kraju polskiego oglądał, każdy inne wrażenie przeżywał, a ten i ów może poza granicami państwa dni parę spędził. Zapewne domyślacie się do czego zamierzam? Do tego, że powinniście napisać coś o tem do Pisemka — żywa wymiana słowa i myśli winna cechować naszą gazetkę. Piszcie ile się tylko da i co się tylko da, bo od waszej woli i od waszej z nim współpracy uzależniona jest jego egzystencja. Oczywiście nie dziwcie się, gdyby to lub owo nie znalazło miejsca w numerze, (to się każdemu zdarza!) nie znaczy to, żeby ten lub inny artykuł był niedobry — nie! Z całem zaufaniem wybór artykułu powierzcie redakcji a wiedźcie, że nigdy nie odeśle was z kwitkiem. A zatem pomyślcie o tem dobrze.

ADAM KIC. S. M. Kl. VII a.

HISTORJA i ROZWÓJ SODALICYJ MARJAŃSKICH.

Sodalicja marjańska zrodziła się pod wpływem potężnego religijnego odrodzenia, jakie w połowie XVI wieku przeciwstawiło się reformacji i złowrogim jej owocom. Założycielem jej był młody podówczas zakon Towarzystwa Jezusowego, piastunką i przewodniczką Stolica Apostolska.

W roku 1560 został nauczycielem najniższej klasy rzymskiego jezuickiego gimnazjum, młody Belgijczyk, rodem z Liège, nazwiskiem Jan Leunis. Pouczał on swoich uczniów, jak można się przypodobać Marji i zasłużyć sobie na szczególną jej opiekę, przez dobre uczynki i praktykę chrześcijańskiej cnoty. Widząc, że to nabożeństwo do Marji przynosi młodym sercom nieobliczalne duchowe pożytki, zawiązał za zgodą przełożonych stowarzyszenie religijne, którego celem było przez miłość Panny Najświętszej i wierną jej służbę, dążyć do zdobycia cnoty chrześcijańskiej.

Założonej przez siebie kongregacji, nadał Ojciec Leunis odpowiednie reguły i organiczny ustrój, który sodalicja po dzień dzisiejszy zachowała.

Minęło od tego czasu zaledwie lat kilka, a już w kolegjum rzymskiem istniały 4 kongregacje. Przykład Wiecznego Miasta musiał oddziałać na inne kolegja jezuickie, które powstały w Niemczech, Francji, Szwajcarji, a niebawem i po dalszych krajach północnej Europy.

Nie minęło lat piętnaście od założenia pierwszej kongregacji, a już przed r. 1580 słyszymy o sodalicjach w Kolonji, Paryżu, Innsbrucku, Lucernie, Wiedniu, Monachjum, Treuirze i w wielu innych miejscowościach.

To też Kościół w osobach Namiestników Chrystusowych sypał hojną ręką całe szeregi aktów, przez które spadły na kongregację nieprzeliczone łaski i przywileje oraz błogosławieństwa. Wskutek tego duch związku był już tak potężny, że wyszedł zwycięsko z wszystkich trudności i zdobył sobie na końcu XVI wieku i przez cały wiek XVII najpiękniejsze swe wawrzyny.

Na samym wstępie do swych dziejów musiały sodalicje stanąć murem w obronie zagrożonej wiary i pobożności Chrześcijańskiej. I trzeba przyznać, że to pierwsze swe zadanie spełniły w całej pełni.

Prawdziwy historyk religijny XVII wieku nie waha się twierdzić, że duszą tak zwanej kontrreformacji były właśnie sodalicje marjańskie.

One bowiem wśród zamętu religijnego, wśród szerokiego spoganienia serc, wyrobiły ludzi szczerze wierzących, umiejących żyć nadprzyrodzonem życiem. —

W wieku XVII było około 3 tysiące sodalizacyj, które jakby złotą siecią swych organizacyj marjańskich oplotły cały świat katolicki, i objęły wszystkie jego stany: kler, szlachtę, mieszczan, studentów, rękodzielników, ba nawet marynarzy i rybaków.

We wszystkich kwitła gorąca miłość Najśw. Panny, głęboka pobożność budująca czystość życia, czynna miłość bliźniego.

Tak było wszędzie, tak było i w naszej Polsce, gdzie sodalicje już z końcem XVI w. wprowadzone tak silne niebawem zapuściły korzenie, że tytułem sodalisów Marji, chlubiły się u nas całe ogromne zastępy nietylko młodzieży, ale i mieszczan, szlachty, dygnitarzy a nawet kilku królów.

Jak za granicą tak i u nas był ten tytuł sodalisa jakby dyplomem szlachectwa duchowego, które pociągało za sobą niemałe obowiązki moralne.

Wiek XVIII, jak na wielu innych polach tak i na polu religijnym przyniósł upadek. Z początku stulecia rozwijały się sodalicje i nadal ale wskutek trudności wywołanych politycznem położeniem Europy, zaczął duch słabnąć i przygasać.

Mimo, że z początkiem XIX wieku otwarła się dla sodalicji droga do szybkiej ekspanzji, to jednak przybywało ich niewiele, bo jak już wspomniałem nie sprzyjało ich rozwojowi polityczne i społeczne położenie wielu krajów, a także nie dokonało się jeszcze całkowite katolickie odrodzenie. Dopiero gdy w r. 1854 Pius IX ogłosił dogmat o Niepokalanem Poczęciu Najświętszej Marji Panny, rozpoczął się nowy okres rozwoju sodalicji.

Kiedy od r. 1584 do 1854, więc przez lat 270 liczba sodalicyj wynosiła 5625, to od roku 1854 do końca 1922 r. zatem przez 68 lat doszła do sumy 40 248 czyli wzrastała 28 razy szybciej.

W równem tempie z liczebnym przyrostem postępuje ich rozwój wewnętrzny.

Szereg wybitnych teoretyków sodalicyjnego życia wniknął głęboko w różne jego doniosłe problemy i opracował jego myśli przewodnie. W ten sposób wyjaśniła się istota sodalicji i jej historja. —

W samym łonie sodalicji wre mrówcza praca. Przybywa coraz więcej sekcyj, powstają związki międzysodalicyjne, i nigdy nie widziano tak bujnego jej życia, jakie panuje w porze obecnej. Organizuje się wiece, i zjazdy delegatów, zebrania moderatorów, i różne obchody, wydaje się mnóstwo czasopism.

Można mieć uzasadnioną nadzieję, że ten świetny okres dziejów sodalicyjnych nie prędko się skończy. Wszystko zdaje się wróżyć, że te czasy ku którym sodalicja dziś idzie, będą porą jej największych tryumfów. —

(Opracowano na podstawie „Przewodnika sodalicyjnego").

Przy naszem gimn., istnieje już od lat kilku Sodalicja marjańska uczniów, której celem jest uszlachetniać młode serca swych członków, pracować sumiennie i wytrwale dla dobra Ojczyzny, bliźnich, wcielając w życie hasło naszego wieszcza:

„Młodości, ty nad poziomy wylatuj"!

TADEUSZ WŁAD. STARK VI a.

SZLAKIEM TATRZAŃSKIM DO CZECHOSŁOWACJI

(Ciąg dalszy)

IV.

Góry wyszły jak z kąpieli
I swem łonem świecą czystem
W granitowej świecą bieli
W tem powietrzu przezroczystem.
(Ranek w górach — Asnyk).

Gdy trzeciego dnia wycieczki obudziłem się w niewielkim hotelu na „Hrebienioku", pierwszem mojem pytaniem było: czy jest pogoda? Okazało się, że pogoda dopisuje, a mgły i chmury znikły bez śladu. Zapanowała radość. Po kilku chwilach jesteśmy już na dworze i podziwiamy kształtną kopułę Łomnicy i dziki szczyt Lodowego, dwóch gigantów tatrzańskich, które stąd przedstawiają się imponująco a, osrebrzone promieniami rannego słońca, występują tak dokładnie, iż widzimy każde wklęśnięcie i każdy żleb.

Poinformowawszy się następnie o drogę, wsiedliśmy do kolejki linowej (lanova draha), którą dojeżdża się do Smokowca. Kolejka ta składa się z jednego wagonu, który jest wciągany w górę zapomocą liny, ciągniętej przez drugi wagon idący w dół. Po dziesięciominutowej jeździe stanęliśmy w Smokowcu. (Szmeks). Miejscowość ta składa się z trzech części: Stary Smokovec, Dolny i Novy Smokovec. Najludniejszym jest stary Smokowiec, jedno z największych i najstarszych uzdrowisk po południowej stronie Tatr. Obejmuje on kilka will i pensjonatów, wielki „Grand Hotel", 2 małe kościółki i pocztę. Znajduje się tu również piękny park, wśród którego rozrzucone są wille. Cała miejscowość jest wzorowo urządzona. Z sąsiedniemi letniskami łączy ją tramwaj elektryczny (Tatranska electricka draha),

który swą siecią obejmuje całą południową stronę.

Zobaczywszy wszystko co było godne widzenia, udaliśmy się na obiad do restauracji, przy którym przygrywała nam oryginalna orkiestra cygańska.

Po południu postanowiliśmy zwiedzić sąsiednie uzdrowisko: Szczyrbskie Jezioro (Strbske Pleso), oddalone od Smokowca kilkanaście kilometrów. Nie chcąc wyczerpać zbytnio sił na dzień jutrzejszy, w którym oczekiwała nas niemała droga, wsiedliśmy do tramwaju. Tor kolejki wije się wzdłuż dobrze utrzymanej szosy, t. zw. Drogi Turystoskiej, w licznych zakosach amfiteatralnie, biegnąc po zboczach gór i otwierając efektowny widok raz na panoramę górską, mianowicie na Slawkowski Szczyt, Garłucha, Kończystą i wreszcie Krywań, raz znów na dolinę liptowską z jej żyznemi polami i cichemi wioskami. Tramwaj zatrzymuje się co chwilę, mijamy bowiem cały szereg miejscowości kąpielowych i letnisk, rojących się od gości, jak Westerowo, Wyższe Hagi i inne. Po dobrej godzinie jazdy wysiadamy w Szczyrbskiem Jeziorze. Uderza nas podobieństwo tego letniska do Smokowca. Składa się taksamo z kilku will, kilku pensjonatów i dużego hotelu. Położenie jest jednak romantyczniejsze i bardziej niezwykłe: leży bowiem nad pięknym stawem, otoczonym lasem. Woda jeziora, mieniąca się w słońcu, w czarnem obramowaniu drzew tworzy widok bardzo piękny. Szczyty, trochę oddalone, stanowią tło, które dopełnia całości. Na jeziorze pełno łódek a we wschodniej części jeziora położone łazienki są zapełnionone kąpiącymi się. Wzorowo urządzone uzdrowisko robi nader miłe wrażenie. To też nic dziwnego, że spotykamy tu gości nietylko z odległej Pragi i Brna, ale i z Węgier i Niemiec. Co chwilę słyszy się też polski język.



Wodospady w dolinie Zimnej Wody
(fotogr.: J. Kuntze)

Odpocząwszy na terasie restauracji, skąd roztacza się rozległy widok na jezioro i łańcuch Tatr, wybieramy się w dalszą drogę, której celem jest Popradzkie jezioro (Pópradske pleso). Idziemy najpierw szerokiem chodnikiem, nazwanym „Cesta Masarykova", a potem skręcamy na małą ścieżkę, utrzymaną w takim porządku, że spotykamy tu panów i panie w eleganckich lakierkach. Droga rzeczywiście nader wygodna i przyjemna, pokonuje bowiem tylko dwa małe wzniesienia. Po naszej prawej stronie szumi potok górski. To Poprad, wypływający z Popradzkiego jeziora, pędzi swe szybkie fale ku dolinie Liptowskiej. Patrząc w pieniące się nurty, przypominamy sobie, że rzeka ta w dolinie zwraca się najpierw ku wschodowi, potem ku północy, by, przepłynąwszy Spisz, przedrzeć się charakterystycznym przełomem przez Karpaty połączyć się z naszym Dunajcem, rzeką poboczną królowej naszych rzek: Wisły. Znajdujemy się blisko charakterystycznego działu wód: o kilometr drogi może, na zachód od Szczyrbskiego jeziora, wypływa Wag, który jest dopływem Dunaju.

Po 1½ godzinnej drodze stajemy u brzegu Popradzkiego jeziora. Otoczone ze wszystkich stron groźnemi turniami, imponuje swą dzikością. Nad brzegiem małe schronisko tuli się do lasu. W tem to schronisku znaleźliśmy wygodne pomieszczenie na noc, choć jadalnie były przepełnione gośćmi; zastaliśmy tam kilku naszych taterników, z którymi mile spędziliśmy wieczór. —

V

Wkoło jest pustka tak ponura
Takiego chłodu wieje prąd,
Że nawet orły strzępią pióra
I odlatują szybko stąd.
(Tetmajer)

Na ostatni dzień wycieczki przewidziany był długi marsz. Przecież mieliśmy dotrzeć do samego Zakopanego. Oczekiwał nas więc trud niemały, wskutek czego wstaliśmy rychło i już o 7 opuściliśmy schronisko, kierując się na północ. Posuwaliśmy się niezbyt szybko, podziwiając otaczający nas groźny krajobraz dzikich szczytów i urwisk. Ścieżka wzdłuż szatana i Baszt, prowadziła wśród dziko pnącej się kosówki po bulach i garbach doliny. Żadnej tu łąki ni hali, nie słychać dzwonków pasących się owiec, tylko olbrzymie turnie i skały, wobec których człowiek zdaje się być drobnym robaczkiem. Po 1½ godzinnej drodze ukazała się naszym oczom niebieska tafla Hinczowego stawu, okolonego skalistym murem. To Mięguszowieckie szczyty i Cubryna, które oglądaliśmy przed 4 dniami od strony Morskiego Oka. Byliśmy więc z drugiej strony tego wału, za którym znajduje się klejnot Tatr. Gdyby w wale był tunel, za kilka minut znaleźlibyśmy się w schronisku przy Morskiem Oku. Przed nami leżały wyraźnie widoczne dwie sławne przełęcze: przełęcz „pod Chłopkiem“, tak żywo opisana przez Witkiewicza, i przełęcz Mięguszowiecka, z której ogromne zręby opadały ku Wielkiemu Stawowi Hinczowemu. Niedaleko od nich widniała wyniosłość Rysów; widzimy prowadzącą na nią z tej strony wygodną ścieżkę, tak odmienną od trudnego wejścia na Rysy ze strony polskiej. Z drugiej strony łańcucha wznosiła się przełęcz Koprowa, na którą za chwilę mieliśmy się piąć. Stajemy na krótko i przebiegamy wzrokiem piękny krajobraz. Potem ruszamy w dalszą wędrówkę idziemy wygodną ścieżką po dość stromem i trawiastem zboczu. Czem wyżej wzosimy się, widnokrąg się rozszerza, coraz nowe szczyty wychylają się z za wału nad Wielkim jeziorem Hinczowem. Wspinamy się tak dobre ½ godziny, zanim stajemy na przełęczy. Pod naszemi nogami o kilkaset metrów leżą rozrzucone Hinczowe stawki. Przed nami roztacza się piękny widok na Wysoką i szczyt Garłucha, które się wychyliły z za muru, za nami zaś imponuje długi masyw Hrubego.



Uzdrowisko Szczyrbskie Jezioro
(fotogr.: Tad. Stark)



Schronisko na Hali Gąsienicowej
(fotogr.: S. Kuntze)

Nie zatrzymując się długo na przełęczy, zaczęliśmy schodzić w dół. Szliśmy dnem do-

liny Hlinskiej, najpierw po upłazkach, potem wśród głazów i kosówki. Dolina ta nie posiada urozmaiconego krajobrazu, nie ma tu też stawów. W dolnej jej części wchodzimy do lasu, w którym rośnie wielka ilość borówek; całe pola są nimi pokryte. Rzuciliśmy się na nie z radością. Ponieważ jednak czas naglił musieliśmy niebawem opuścić miłe miejsce. Ścieżynka prowadząca w coraz gęstszy las zamieniła się w niewyraźną perć. Mimo bacznej uwagi, by nie zmylić drogi, straciliśmy ślad i po długich dopiero poszukiwaniach odnaleźliśmy właściwą drogę. Wyszedłszy z lasu i pokonawszy jedno wzniesienie, ujrzeliśmy przed sobą przełęcz Zawory. Jest to łagodna przełęcz między Gładkim a Cichym Wierchem, z której roztacza się nowy widok. Z północnej strony ukazuje się dumny szczyt Krywania, z drugiej zaś leżą dwa Stawy Ciemno-Smreczyńskie, nad któremi górują Wrota Chałubińskiego, nazwane tak na cześć założyciela i „odkrywcy“ Zakopanego. Od południowej strony ujrzeliśmy cztery trawiaste kopuły Czerwonych Wierchów, a po krzyżu poznaliśmy skalnego rycerza Tatr: Giewont, który jednak stąd nie przedstawiał się tak pokaźnie jak z Zakopanego. Obok po zboczach pięła się ścieżka, którą za chwilę mieliśmy iść.

Odpoczywamy. Pogoda, która nam dopisywała, zaczęła się psuć. Na zachodzie ukazała się ciemna chmura, nie wróżąca nic dobrego, a z oddala słychać groźne pomruki burzy. Każdej chwili mógł spaść deszcz. Wobec odległości od najbliższego schroniska, bo na Hali Gąsienicowej, skracamy nasz odpoczynek pakujemy plecaki i wędrówka nasza zamienia się w pospieszny marsz. Otuleni w płaszcze, idziemy szybko. Dochodzimy do Walentkowej, ramienia Świnicy i spuszczamy się stromo w dół. Deszcz nie pozwala na siebie długo czekać. Gdy zaczęliśmy się piąć na przełęcz Liljowego, zaczęło padać. Niedługo znaleźliśmy się na przełęczy, przez którą biegnie granica. Przekraczamy ją, nie zatrzymując się. Wśród rozszalałych żywiołów, w burzy i deszczu dochodzimy wreszcie do schroniska na Hali Gąsienicowej, gdzie zamierzamy przeczekać ulewę. Wschronisku nie znajdujemy dużo gości, wszyscy bowiem pouciekali przed burzą do Zakopanego. Ziębnięci i przemoczeni zasiadamy do gorącej herbaty. Gdy po godzinie deszcz przestał padać, opuszczamy schronisko i przez Boczań ruszamy znaną nam ścieżką do Kuźnic a stamtąd szosą do Zakopanego.

W Zakopanem odnajdujemy resztę naszego towarzystwa, zaniepokojonego już o nasz los. Mimo zmęczenia, zaczynami opowiadać o naszej wędrówce i przebiegamy myślą wycieczkę, która odświeżyła nasze siły fizyczne i dała nam wgląd w cudne tajniki dzikiej natury górskiej. Pozostawiła ona na wszystkich jej uczestnikach niezatarte wrażenie.

CHRZĄSTOWSKI ROMAN VI a

URZĄDZANIE BIESIAD W DAWNEJ POLSCE.

Od niepamiętnych czasów zamożni ludzie kochali się w wystawianiu uczt po domach swoich, na które zapraszali przyjaciół lub znajomych. Nakrycia stołowe były u bogatych ze srebra, a u mniej zamożnych z cyny. Dopiero od roku 1750 wszystkie nakrycia u wielkich panów, począwszy od waz, a skończywszy na trzonkach od noży, były wyrabiane z porcelany, która w tym czasie droższą była od srebra, lecz ulegając prędkiemu stłuczeniu, dość rzadko była używana.

U tych, którzy według starożytnego zwyczaju, trzymali stoły otwarte t. j. dla każdego przystępne, kładziono na środku stołu talerze i łyżki ze srebra, na końcach zaś, tak zwanych szarych, dawano cynowe lub blaszane.

Na szarych końcach, które były przeznaczone dla przyjezdnych, nie kładziono ani widelców, ani nożów, gdyż jeszcze do połowy XVIII wieku, biesiadnicy nosili je ze sobą.

Jeżeli jakiś gość zjawił się niespodziewanie, zasiadał bez ceremonji na szarym końcu stołu. Po skończonej uczcie wszyscy obcy biesiadnicy zbliżali się do gospodarza i według zwyczaju dziękowali mu za chleb i sól.

Jeszcze w XVII wieku wszyscy pili po kolei z jednego puhara. Dopiero później zaprowadzono używanie przy stole kielichów i kieliszków

szklannych, tak że nikt nie był zmuszony pić po drugim z tego samego kielicha. Jeżeli ktoś żądał piwa przynoszono mu je w dzbanek na tacy.

Gdy została zaprowadzona moda większej wytworności przy urządzaniu stołów, kładziono nietylko od końca do końca serwety, noże, widelce i łyżki, ale nawet na każdym talerzu po kilka drewienek do wyczyszczenia zębów. Ale z ową wytwornością znikła owa prastara gościnność i od XVIII wieku coraz rzadziej zastawiano stoły dla przyjezdnych gości. Za to powstawały restauracje francuskie, które im były droższe, tem były modniejsze i dawały więcej zysku cudzoziemcom.

M. BĘDKOWSKI Kl. VIII.

JEDWABNICTWO.

Jedwabnik morwowy (Bombyd mori) jest jednym z najpożyteczniejszych motyli, którego gąsiennica wytwarza nitki zwane jedwabiem, mającym tę własność, że zbiera promienie ultrafioletowe, tak korzystne dla człowieka. Hodowla jedwabnika rozwinęła się już bardzo dawno w Chinach i Japonji; podanie głosi iż jeden z cesarzy japońskich, aby podnieść bogactwo kraju, kazał przymusowo sadzić drzewa morwowe, przez długi jednak czas wyrób materjałów jedwabnych był trzymany w tajemnicy. Z Japonji i Chin przedostaje się kultura jedwabnika do zachodniej Azji, następnie do Europy i Afryki. W Europie zaczęły hodować jedwabnika państwa południowe jak Grecja, Włochy, Francja i inne. Do Polski zapewne został sprowadzony przez żonę Zygmunta I. Starego, Bonę Sfarzę, księżniczkę Medjolańską; wówczas bowiem sprowadzono dużo drzew południowych, dotąd u nas uprawianych, między niemi prawdopodobnie znajdowało się także drzewo morwowe. Najpierw zaczęto hodowlę na dworach magnatów, ale na małą skalę więcej może „dla parady niż korzyści". W roku 1853 Adolf Boguciński organizuje w Warszawie „Spółkę Jedwabniczą". Na Podolu zajmują się jedwabnikiem Towarzystwo Jedwabnicze i Spółka Jedwabnicza. Prace tych związków przyniosłyby niewątpliwie obfite plony, gdyby Moskwa w działalności im nie przeszkadzała. Oprócz tego w roku 1860 wybuchła w Europie epidemja, a trwając do r. 1880 zniszczyła hodowlę jedwabnika. Od tego czasu zaniedbano w Polsce jedwabnictwa, a przecież corocznie Polska wydaje za granice po kikadziesiąt miljonów złotych na sprowadzenie bądź to tkanin jedwabnych, bądź też surowce (w r. 1924 za 30 mil. zł.) Kiedy dopiero wynaleziono sposób zwalczania tej epidemji systemem Pasteur'a, zaczyna się napowrót rozwój jedwabnictwa. W Polsce datuje się począwszy od roku 1924, kiedy to p. Henryk Witaczek i jego siostra Stanisława założyli Doświadczalną Stację Jedwabniczą w Milanówku pod Warszawą. Posiadają tam szkółki drzewek morwowych i hodowlę jajeczek, które po niskiej cenie rozsyłają osobom zainteresowanym; oprócz tego urządzają corocznie kursa instruktorskie dla hodowców, organizują komitety i towarzystwa po całym kraju. Doświadczenia przeprowadzone przez nich w różnych okolicach Polski w r. 1925 dały doskonałe wyniki. Kokony (oprzędy) wyprodukowane przez hodowców wcale nie są gorsze od tych, które produkuje Francja, Włochy i inne państwa południowe. Z powyższego wynika, iż Polska ma wszelkie dane, aby ta tak ważna gałąź przemysłu mogła się rozwinąć, szkoda tylko, że społeczeństwo tak mało jeszcze nią się zajmuje, dowodem tego są te drwiny z któremi często się można spotkać. Jedynie Dyrekcja kolei zrozumiała należycie ważność tej gałęzi, zakupując dużą ilość drzewek któremi będą obsadzane tory kolejowe. Myśmy

przeto powinni się bliżej zapoznać z tą hodowlą, aby kiedyś, skoro zajmiemy odpowiednie stanowiska, mogli ją poprzeć. Tem samem zmniejszymy import towarów zagranicznych i podniesiemy bilans państwa. Rugując z płotów i dróg bezwartościowe wierzby, kasztany, topole i t. p pójdziemy tą drogą, którą nam wskazał Henryk Sienkiewicz. „Pamiętajcie, że rozpowszechnianie jedwabnictwa jest jedną z najważniejszych spraw społecznych. Jej pomyślne rozwiązanie przynieść może nieobliczalne korzyści. Te korzyści skreśla on dokładniej „Kto sadzi jedno drzewo morwowe, ten rzuca garść złota do krajowego skarbu". (Chwila obecna) a nam powinno na tem zależeć, aby skarb państwa był bogaty, bo przecież od tego zależeć będzie lepsza przyszłość.

„A — DA" kl. VII a.

Cykl wspomnień obozowych.

I.

Wiwat obóz!

Dzień 30 czerwca. Na ulicy szaleje kanikuła. Od rozpalonych bruków zieje żar wprost nie do zniesienia. Leniwym krokiem sunę wzdłuż kamienic, skrupulatnie korzystając z każdego kawałka ocienionego miejsca. rączka przedpromocyjna, rozdanie świadectw, rozkoszne uczucie ulgi i wreszcie uroczyste pożegnanie z kolegami, uświetnione niezliczonemi porcjami lodów, (Jakiż dziś upał!) Wszystko to już minęło. A jutro wyjeżdżam na



Poświęcenie obozu. — W oczekiwaniu obiadu.
(fotogr.: T. Prabucki)

Ale zato myśli nie idą za przykładem nóg, lecz szybko przewalają mi się przez głowę. Wszakże to już początek wakacyj, koniec pracy i utrapień szkolnych! Przypominam sobie wypadki ostatnich kilku dni. A więc go- obóz, aby rozpocząć na łonie natury cudne, bujne życie harcerskie. Zaczynam marzyć. Nawet pędząca, z widocznym zamiarem przejechania po mnie taksówka, nie potrafi przerwać toku myśli. Obóz harcerski! Ileż

uroku zawiera w sobie to słowo, ileż przyjemności kryje wśród swych liter! Nawet miejsce już ustalone, gdzieś w okolicy malowniczego Ojcowa. — Wtem wzrok mój, błądzący gdzieś po opustoszałych chodnikach, napotyka na dobrze znaną postać drużynowego, a zarazem sąsiada i kolegi szkolnego. Biegnie prawie i zdaleka macha już ręką. Napewno ma mi coś ważnego do oznajmienia. Nie witając się nawet, wykrzykuje: — „Wiesz, obóz został przeniesiony, nie jedziemy do Ojcowa, ale nad Dniestr, prawie nad samą granicą rumuńską! Cóż myślisz o tem?“ — Jeżeli mam być szczery, to pomyślałem sobie najpierw, że drużynowy zwarjował, potem, że mnie „nabiera“, wkońcu zdziwiłem się nie na żatry. — „Co takiego mówisz? Dniestr... granica rumuńska... I to teraz, w ostatniej niemal chwili?“ —

Ale wkrótce zdziwienie ustępuje miejsca szalonej radości. Doskonale, jedziemy nad Dniest! Biegnę do domu, aby poczynić odpowiednie przygotowania i zawiadomić o zmianie.

Taki to początek miał ów obóz. jak gdyby, na zapowiedź niezwykłych wypadków, jakie miały się na nim zdarzyć.

Nadeszło wreszcie oczekiwane jutro. Przechadzający się w tym dniu przed dworcem kolejowym, mogli zauważyć długi szereg smukłych postaci, przybranych w mundury harcerskie, karnie stojących na swem miejscu.

Przed każdym spoczywa na ziemi wypchany do ostateczności plecak z tradycyjną menażką na szczycie. Tu i ówdzie błyszczą w słońcu lufy flobertów.

Komenda... Szereg, jak jeden mąż, chwyta za plecaki, rozlega się charakterystyczny skrzyp rzemieni, i za chwilę wszystko znika w bramie dworca. Ten i ów ogląda się jeszcze za drogiemi osobami, których grupka stoi na ulicy. Chwila żalu, ale... tylko chwila.

Odjazd... Katowice już daleko za nami. Wiara zwarzona nieco pożegnaniem (zwykły zresztą objaw), odzyskuje humor i wagon rozbrzmiewa już śmiechem i śpiewami. Kilka godzin postoju w Krakowie i jazda dalej. Noc już jest późna, wobec czego pada rozkaz ułożenia się do snu. Przykładna harmonja panująca dotychczas w naszem gronie zostaje nieco zakłócona, a to z powodu nieprzepartej chęci spania na górnej półce, która to chęć ogarnęła nagle wszystkich przyszłych obozowców. Cała trudność polegała na tem, że ilość amatorów wysokiego spania, przewyższała conajmniej czterokrotnie ilość półek Zwłaszcza członkowie zastępu najmłodszego (harcerski termin dla takich jegomościów brzmi „wilczki“) „spór zacięty wiodą wraz“. Harmonję przywrócił wreszcie sam Morfeusz, ogarniając wszystkich swemi ramionami, a zatem i „tych na dole“.

Z rannych mgieł wynurza się „Leopolis semper fidelis“ — jak głosi napis dworca. Dzień postoju w „Lwim grodzie“, a następnie ostatni etap naszej podróży. W Stanisławowie zobaczyliśmy pierwszych huculów w charakterystycznych, szerokich kapeluszach słomianych i czerwonych, wysokich. Ciekawe typy przedstawiają zwłaszcza kobiety, z dziwnemi, jakgdyby ulepionemi fryzurami. (Dowiedziałem się potem, że hucułki smarują włosy żywicą z czereśni.) Nasze „wilczki“ były znowu mocno zaintrygowane wysokiemi butami kobiet, i niejeden tak się zagapił, że trzeba go było odrywać niemal przemocą.

Jeszcze godzina jazdy i już jesteśmy u kresu naszej podróży, w sławetnem mieście Niżniowie.

II.
Sztandarowi Cześć!

Na terenie wybranym pod obóz wre praca. Rozbijamy obóz na górze, pod lasem, w odległości około 500 kroków od domów mieszkalnych. Pierwszą, a zarazem najprzykrzejszą pracą jest wycinanie ostów i znoszenie ich na jedną kupę. Słynne owe nieporównanej bujności „budiaki“ ukraińskie, doprowadzają nas wprost do rozpaczy. O chodzeniu boso mowy nawet niema. Nieszczęśni, specjalnie wybrani „zbieracze“ ostów, narzekają aż żal słuchać. Gdy tylko ktoś z zapalonych amatorów chodzenia boso nastąpi na suchy kolec, biegnie zaraz do takiego „zbieracza“ i robi mu wyrzuty z powodu niesumiennej pracy. Dodać należy, że zbieranie ostów należy do „robót karnych“.

Po oczyszczeniu terenu następuje rozbijanie namiotów, których obóz posiada trzy, dalej okopanie ich rowkiem, wreszcie budowa szałasu, pod którym ma nocować zastęp najstarszy. Praca wre w całej pełni, bo trzeba się śpieszyć; przecie za parę dni ma nastąpić uroczyste otwarcie obozu, z licznym udziałem gości. Gromada na pół nagich ciał, z narzędziami w rękach stale pracuje nad upiększeniem obozu. Mamy już stół wykopany w ziemi i ozdobiony wedle pomysłu zawsze jowialnego i wesołego prof. Drozdowskiego, opiekuna drużyny. Wreszcie czynność końcowa i najważniejsza: postawienie masztu. Przedtem jednak muszę objaśnić laików, że maszt jest dumą każdego obozu, a tem ta duma jest większa, im maszt wyższy. Chodzi bowiem o to, aby chorągiew powiewająca na maszcie, była widziana w jak największym promieniu. Otóż słynny nasz (o którym niejednokrotnie będą czytelnicy jeszcze słyszeli) maszt miał 16 i 1/2 metra wysokości. Proszę sobie wyobrazić: 16 i 1/2 metra! Takim masztem żaden chyba obóz poszczycić się nie może. Ofiarodawcą masztu był hrabia Mniszek, wielki sympatyk naszego obozu.



Poświęcenie obozu. – Na pierwszym planie maszt ze spuszczonym sztandarem.
[fotogr.: T. Prabucki]

Do przeniesienia masztu wyznaczono 10 najtęższych „chłopów“, którzy też w pełni zrozumienia swej doniosłej roli, wnieśli olbrzyma do obozu. Maszt wkopany w ziemię, czekał tylko na chorągiew, ale ta miała zawisnąć dopiero jutro, podczas uroczystego otwarcia obozu.

Nadeszło jutro. Około godz. 10 rano zebrała się licznie ludność miasteczka, aby przypatrzeć się uroczystości. Wszyscy członkowie obozu w licz-

bie 25, w pełnych mundurach stają na baczność. Odczytują pierwszy, oficjalny rozkaz dzienny. Dowiadujemy się z niego (oczywiście oficjalnie) o mianowaniach „dygnitarzy“ obozowych, a więc: opiekuna, komendanta, oboźnego (coś pośledniejszego od komendanta, zastępowych, a wreszcie zastępu służbowego na dzień dzisiejszy. A teraz „clou“ uroczystości: podniesienie sztandaru. Na komendę; „Sztandarowi Cześć“ wszyscy podnoszą prawe ramiona w górę i wzorem faszystowskim witają wyjeżdżającą na szyt masztu chorągiew. Z dumą patrzymy na nią, jak szarpana wichrem zawisa na szczycie.

Od tej chwili nominalnie zaczął się obóz.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

A—DA. Kl. VII a.

„CYD”

Tragedja w 5 aktach P. Corneille'a. Tłumaczył Stanisław Wyspiański.
Reżyserował dyr. W. Nowakowski.

Znana z nauki literatury tragedja „Cyd“, ściągnęła na sobotnie przedstawienie szkolne liczne rzesze uczącej się młodzieży. Bo też nie wiele jest sztuk teatralnych, któreby darzyły widza taką pełnią zadowolenia wewnętrznego i niezatartem wspomnieniem. Tu dopiero rozumie się, co to jest prawdziwa, wielka sztuka.

Twórca „Cyda“ Pierre Corneille, ojciec tragedji francuskiej, pisał zrazu komedje na wzór hiszpańskich, potem tragedje, z których najbardziej znana jest właśnie „Cyd“. Tragedja ta, wydana w r. 1637, zespala w sobie dwie zasadnicze cechy: bujną fantazię hiszpańską i zimną logikę klasyczną; dało to całość doskonałą pod każdym względem. Jedynie sprawa trzech klasycznych jedności, nie przedstawia się dostatecznie jasno. Jedność akcji mąci postać Infantki, jedność czasu zaś nie dochodzi wprawdzie nawet do 24 godzin, ale zawiera za dużo — jak na taki przeciąg czasu — wypadków, na czem traci znów prawdopodobieństwo i naturalność utworu. Jedynie jedność miejsca nie daje pola do zarzutów.

Godzi się również wspomnieć o genjalnym tłumaczu „Cyda“, Wyspiańskim, który — w dość wolnym zresztą tłumaczeniu — dał polskiej sztuce teatralnej jedno arcydzieło więcej.

Bohaterem tragedji jest Rodrygo, (nazwany później „Cydem“), który w obronie honoru ojca, zabija w pojedynku Don Gomeza, ojca swej przyszłej żony, ukochanej Szimeny.

Oto mistrzowskie powikłanie akcji.

Szimena, mimo całej swej miłości do Rodryga, jest godną mścicielką zabitego ojca i żąda od króla ukarania rzekomego zabójcę. Sprawa ulega jednak zwłoce, z powodu nagłego napadu Maurów na Sewillę (tam bowiem akcja się rozgrywa), Rodrygo zaś okrywa się w walce sławą obrońcy ojczyzny. Król gotów jest mu przebaczyć, ale Szimena trwa w uporze i żąda sprawiedliwej kary. Nie pomagają perswazje i wybiegi króla; Szimena pragnie sobie wybrać obrońcę, któryby pomścił jej krzywdy na Rodrygu. Usługi swe i szpadę ofiaruje jej Don Sanszo, wyzywając Rodryga na pojedynek, którego zwycięzca ma zostać mężem Szimeny. Tu następuje część najtrudniejsza do odegrania. Rodryg pokonawszy Szansza, odsyła go ze szpadą do Szimeny, co ta rozumie za znak śmierci Rodryga. W długiej, pełnej rozpaczy tyradzie, wyznając swą miłość do Rodryga, nie dając dojść do słowa Sanszowi i wyjaśnić, że to Rodryg posyła go ze szpadą wytrąconą mu z ręki. Sprawa wyjaśnia się dopiero przed królem, a Szimena wyjawiwszy już swą miłość, zgadza się za namową króla poślubić Rodryga. Oto nie mniej mistrzowskie rozwiązanie akcji.

Należy wspomnieć jeszcze o postaci Infantki, która zmaga się dzielnie

z miłością do Rodryga, pomna na swe królewskie pochodzenie.

Rolę Rodryga, odtwarzał doskonale p. dyr. W. Nowakowski, znany już na deskach tutejszego teatru w rolach bohaterskich. Wielkie uznanie zyskała również nieznana jeszcze p. Kozłowska w roli Szimeny. Wspaniała była postać króla w kreacji p. Wojdana, bez zarzutu również Don Gomez p. Bogusławskiego P. Strońska natomiast robiła mniej dodatnie wrażenie, chociaż i jej nie można postawić poważniejszego zarzutu. Zarzut można zato postawić jej potwórnie szerokiej krynolinie (a ściśle mówiąc, zbyt wąskim drzwiom), która zmuszała ją do przechodzenia przez drzwi bokiem, co znów pobudzało publiczność do śmiechu, często w momentach wcale nieodpowiednich. P. Serwiński w roli Don Sansza nie wykonał swej trudnej (jak już wspomniałem) roli zadowalniająco. Wszedłszy bowiem ze szpadą na scenę, nie robił wrażenia człowieka, który chce coś powiedzieć i któremu ktoś ciągle przerywa Nadzwyczaj miłe natomiast wrażenie sprawiła p. Michałowska w roli Eleonory, umiejąc wnieść w skromną swą rólkę dużo naturalnego i nader miłego wdzwięku. Don Diego w kreacji p. Purzyckiego był również dość udany.

Przedstawienie naogół zatem było starannie opracowane i żaden z widzów nie żałował zapewne swej obecności.

RZECZY CIEKAWE i GODNE SPAMIĘTANIA.

H. MARR (Margulies).

TYBET.

Tybet, ten olbrzymi płaskowyż stanowił zagadkę, na którą potrafiło kilku zaledwie awanturniczych podróżników rzucić snop światła, zresztą bardzo słaby. Płaskowyż ten w środkowej Azji otoczony łańcuchem Himalajów. Obszar wynosi 1 milion km^2 a przeciętna jego wysokość 15.000 stóp (więc wyższy od M. Blanc). Pomimo że leży pomiędzy żyznemi krajami Indji i Chin, sam jest nieurodzajny i posiada klimat zimny, robiąc wrażenie pustyni na której widać stada antylop, jaków, lam i t. p., osady bardzo rzadkie, widać natomiast zamki i klasztory, w których jest pełno mnichow. Wogóle Tybet jest krajem mnichów co czwarty mieszkaniec jest mnichem. Istnieje tam ustrój matrjalchalny t. z. że głową rodziny jest kobieta i wogóle od niej jest zależny mężczyzna pomimo że pracuje na nią. Jest to jedyny przykład tego rodzaju nieistniejący dziś już nigdzie. Stolicą tego tajemniczego kraju jest Lhassa, gdzie panuje władca i kapłan w jednej osobie legendarny „Dalaj — Lama“. Kilku zaledwie śmiałkom udało się dostać do tej stolicy, reszta zaś których było wielu zginęła albo od głodu albo od rąk fanatyków. Szwed Swen-Hedin autor pięknych opisów dotarł pierwszy do Lhassy. Ostatnim Europejczykiem, który dotarł do Lhassy był Anglik Govern, lektor języka chińskiego, w Londynie. On to wyprawiał się dwa razy przyczem był niezmordowany w znoszeniu trudów. Pierwsza wyprawa dotarła do Gyantse to jest pół drogi do Lhassy. Druga zaś udała się, ale Govern zachorował tam. Szczęśliwym trafem znalazł tam dom w którym się wyleczył i po poznaniu stosunków wrócił do Anglji.

Najjaśniejsza latarnia morska znajduje się w **Hell Gade w** Ameryce. Jest ona wysoka na 76 m. i ma 9 lamp elektrycznych o sile 6.000 świec każda.

Najdłuższym tunelem świata jest tunel **Św. Gottharda,** gdyż ma długość przeszło 9 mil.

Największy dzwon znajduje się w Moskwie w **Kremlinie.** Jest wysoki na 6 m., a średnica u paszczy wynosi 7 m.

MATUSZCZYK III a

Jeżeli człowiek pisze szybko to pióro jego przez minutę przebiega przestrzeń równającą się 3 metrom 60 cm., a przez 4 godz. 40 minut przeleci cały kilometr. Ręka człowieka piszącego kilka godzin zrobi więcej **drogi, niż nogi** podczas przechadzki.

— — — — — — — — — — — —

Jakiś bardzo cierpliwy człowiek obliczył ile włosów pokrywa ludzką czaszkę Obliczenie jego wykazało: u blondyna 143 tysięcy, u bruneta 102 tysięcy a u **rudego 90 tysięcy** włosów.

— — — — — — — — — — — —

Każdy człowiek ma 2 rodziców, 4 dziadów, 8 pradziadów 16 prapradziadków, 32 przodków, w piątem 64, w szóstem 128, w siódmem 256, w ósmem 512, 1024 w dziesiątem pokoleniu. W szesnastem pokoleniu ma każdy 65.532 przodków. Szesnaście pokoleń obejmuje czas mniejwięcej 500 lat.

Kino w kopalni. Oliver Iron Mining Company zbudowało w Minnesota w swej kopalni na 100 m pod poziomem morza kino dla robotników. Co niedzielę wyświetla kino filmy pouczające z dziedziny górnictwa i rozrywkowe.

Wesoły kącik.

Przytomny kapitan.

Przy strzelaniu do tarczy kapitan uczy żołnierzy, jak mają trafiać do celu... — Raz, dwa — pal!!

Rozlega się wystrzał, żołnierz nie trafia

— „Ośle", mówi rozgniewany kapitan, daj tu karabin, ja ci pokażę jak strzelać należy!

Kapitan składa się, strzela — także spudłował. Nie tracąc jednak przytomności, woła: „Oto widzisz, ty tak strzelasz!"

Potem znowu strzela i znowu chybia. — „Ot, jak wy wszyscy strzelacie!" Na koniec po raz trzeci dopiero udaje mu się trafić.

— „A oto, jak strzelać należy!" woła kapitan zadowolony, i oddaje karabin żołnierzowi.

— — — — — — — —

Mały Staś stoi przy oknie i płacze. Ciocia, która przyszła go odwiedzić podchodzi do niego i pyta — Dlaczego płaczesz Stasiu? A bo tatuś kupił mi kalosze i parasolkę, a niema deszczu ani błota...

— — — — — — — —

Mała Wisia: Plosę babci o kawałek babci.
Babcia: Nie mówi się babci tylko baby.
Wisia: Plosę baby o kawałek babci...

Namysło B. IV c.

W pracowni malarskiej. (autentyczne)

Felek: „Antek znosz karmazyn?"
Antek: „Znom, jodem przecie!"
Felek: „Idźże, Idźże głupi, bo to forba!"
Antek: „Wim zielono!"

Bo-Bro.

Co pan pozwoli, panie profesorze? pyta kelner.

— Obojętnie co, byleın miał 56 gramów tłuszczu, 90 gramów białka i 500 gramów węglowodanów.

W szkole. (autentyczne)

Nauczyciel: (przy nauce metryki łacińskiego wiersza)

„Daktyl jest cztero-morowy".

Żarłocki z ostatniej ławki: O tak panie profesorze, daktyl jest bardzo „morowy"!

Nauczyciel: (wzburzonem głosem). Co ty pleciesz?... Powiedz mi za karę, czem się da daktyl zastąpić?

— Suszoną śliwką, albo figą panie profesorze...

Bo-Bro.

— — — — — — — —

Sześcioletnia Dorcia której dziadek umarł na udar serca, przychodzi ze szkoły do domu i mówi do mamusi:

„Pani mnie się pytała na co zmarł dziadek?"
„A jako ty powiedziała?"
No, grzmot go trafił!

J. E. Jurzyca kl. I b.

W wędliniarni.

„Prawda, że kiełbasa którą panu wczoraj sprzedałem, była znakomita?"

— „Nie tak znakomita jak świeża, gdyż znalazłem w niej kawałek wczorajszego dziennika".

ZADANIA MATEMATYCZNE.

Rozwiązanie zadań z pierwszego numeru.

Zadanie Nr. 1.

Oznaczamy drogę ze stacji A do B przez X.

Gdyby pierwszy pociąg całą drogą pędził z szybkością a km/godz., to przebyłby ją w czasie $\frac{x}{a}$. Drugi zaś z szybkościa b km/godz. w czasie $\frac{x}{b}$. Różnica więc czasu wyruszenia obu pociągów wynosi $\frac{x}{a} - \frac{x}{b}$. Pierwszy jednak pociąg z szybkością a km/godz. jedzie tylko $3/4$ drogi, a jedną czwartą o połowę zmniejszoną prędkością. Dlatego drugi dogania go w c km od stacji B w czasie $\frac{x-c}{b}$, drogę $x-c$ przebywa pierwszy pociąg w czasie $\left(\frac{3x}{4a} + \frac{x-4c}{2a}\right)$. Różnica czasu obu pociągów wynosi $\left(\frac{x}{a} - \frac{x}{b}\right)$.

Wobec tego:

$$\frac{3x}{4a} + \frac{x-4c}{2a} - \frac{x-c}{b} = \frac{x}{a} - \frac{x}{b}$$

$$\frac{3x + 2x - 8c}{4a} - \frac{x}{b} + \frac{c}{b} = \frac{x}{a} - \frac{x}{b}$$

$$5x - 8c + \frac{4ac}{b} = 4x$$

$$x = 8c - \frac{4ac}{b} = \frac{4c(2b-a)}{b}$$

D y s k u s j a:

$$x > c > 0.$$

jeżeli $x > 0$,

to $2b - a > 0$

$$a > 2b$$

Zadanie Nr. 2.

$$\begin{cases} y^{xy} = x^{y^{x}} \\ y = \sqrt[x]{x}. \end{cases}$$

I. sp. Podnieśmy drugie równanie do potęgi x, otrzymamy $y^x = x$. Podstawiając w pierwszem równaniu zamiast y^x wartość x, mamy $x^y = x^{y^x}$.

Z definicji zaś potęgowania wynika, że, jeżeli zasady są sobie równe, to i ich wykładniki są równe.

Więc: $y^1 = y^x$, z tego $x = 1$;

y będzie się równało również jedności, jeżeli za wartość x przedstawimy 1. $y = 1$.

II. sp.

$$y^{yx} = x^{y^x}$$
$$y = \sqrt[x]{x}$$
$$x y \lg y = y^x \lg x$$
$$x \lg y = \lg x$$
$$y^x = y$$
$$x = 1.$$
$$y = 1.$$

Zadanie Nr. 3.

Dana jest beczka 10-litrowa napełniona winem. Wino to należy podzielić na dwie równe części. Do dyspozycji stoją dwa wolne naczynia: jedno 3-litrowe, drugie 7-litrowe. Jak należy dokonać podziału? *M. O.*

Zadanie Nr. 4.

Gospodarz ma większą ilość flaszek wina. Chcąc zabezpieczyć się przed kradzieżą ze strony służby i ułatwić sobie przeliczanie flaszek, ustawia je w kwadrat tak, że po każdym boku stoi 9 flaszek. Nie przeszkodziło to jednak służbie w oszukiwaniu gospodarza. Spostrzegłszy bowiem podstęp pana, zabiera pewną ilość flaszek, a resztę ustawia tak, że każdy bok kwadratu nadal liczy po 9 flaszek. Tego samego sposobu używa jeszcze dwa razy, zabierając za każdym razem tę samą ilość. Nie zauważył tego gospodarz, który przeliczając flaszki zawsze znajdywał po 9 flaszek w każdym boku kwadratu. O! jakież było jego przerażenie, gdy chcąc sprzedać wino zamiast pierwotnej liczby flaszek znalazl już tylko 20 flaszek, chociaż i teraz jeszcze każdy bok kwadratu liczył 9 flaszek?

Jaka była pierwotna ilość flaszek?

Po ile flaszek zabierała służba za każdym razem.

Alojzy Nowak,
abiturjent Gimn. Pań. w Katowicach.

Rozrywki.

Szarada z nr. 2: Kon-stan-ty-no-pol.
Rozwiązanie nadesłali: **J. Baj** (Angja); K. **Toś** (Belgja); P. **Marek** V b.

Rebusy

(uł.: O. Kwiatkowski VI a)

$\frac{\text{wo}}{\text{da}}$ = *co to jest?*

$\frac{\text{gar}}{\text{szty}}$ = *kto to jest?*

Zagadka.

(uł.: B. Sauer V a)

——— Allahabad
——— Bonn
——— Barnaul
——— Bukareszt
——— Lado
——— Tomsk

W miejsce kresek postawić nazwę rzeki, nad któremi miasta te leżą. Pierwsze ich litery, czytane z góry nadół dają miasto w Polsce.

Łamigłówka sylabowa.

Z następujących sylab ułożyć 20 wyrazów tak, aby początkowe litery czytane z góry na dół dałyby nam imię i nazwisko dr. profesora naszego zakładu.

a — a — al — am — bo — buf — ce — cej — chal — — cy — da — des — dy — e — e — er — fa — — fa — gi — gi — go — i — i — ig — izm, — — ko — lo — lon — la — ław — mi — mi — na — nga — no — wor — o — on — ra — ran — ro — so — łu — wa — wa — we — wi — wro — wroe — za — za — zop.

Znaczenie wyrazów.

1. Ptak nocny. 2. Dziejopisarz grecki (przed nar. Chr.) 3. Samolubstwo. 4. Król egipski. 5. Kraj w północnej Afryce. 6. Państwo w Europie. 7. Spółgłoska. 8. Miasto w Polsce. 9. Samogłoska. 10. Miejscowość na Śląsku. 11. Miasto w Kanadzie. 12. Jeden z dwunastu synów Jakóba. 13. Osada w pustyni. 14. Jezioro w Afryce. 15. Wyżyna w Azji. 16. St. bajkopisarz grecki. 17. Ptak dosyć duży. 18. Przyrząd do szycia. 19. Wyspa na morzu indyjskim. 20. Tyle co przeszkoda.

P. Marek V b.

Sprostowanie.

W zawodach międzyklasowych w piłkę graniczną zwyciężyła II c, obecnie III c w stosunku 5:3, a nie jak mylnie podano II a.

ADRES: Redakcja i Administracja: Katowice, Gimnazjum Państwowe, ul. Mickiewicza — Wszelkie artykuły i listy należy przesyłać na powyższy adres.
Opiekun mies. „NASZE PISEMKO“ **Dr. Stefan Ciembroniewicz,** Katowice, Gimn. Państw.

Treść Numeru 1. i 2.

Drukiem Drukarni Przemysłowej—Katowice, ul. Wojewódzka 20. Telefon 2515.